



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Kapitałny artykuł „O Biegasie i jego protektorach” przeczytaliśmy w N. 47 „Prawdy.” Nie możemy się powstrzymać, by nie przytoczyć choć w głównych zarysach dzielnej odprawy, jaką dał „Poseł prawdy” niektórym z dzienników naszych, oraz zawistnym „Fidyaszkom,” którym solą w oko jest każdy nowy pojawiający się talent, zwracający na siebie uwagę ogółu.

Za trudno byłoby nie przyznać zbyt wybitnych zdolności chłopcu z pod Ciechanowa, bo jeśli w tem zdaniu nie już zła przejawiała się wola, to brak zjawstwa na polu sztuki zabiłby tych, którzy przecie w zakresie prac uprawianych przez siebie powinni by cieszyć się pewną kompetencją. Tak dalece kompromitować się nie chcieli. Więc—ażby obniżyć nieco poziom zainteresowania się ogółu Biegasem—dostrzegli w nim, wprawdzie „wrodzony talent” lecz nie tę iskrę Bożą, która sama przez się zapala się w duszy ludzkiej i daje pęd naprzód ku celom wyższemu, ku coraz wznioślejszym ideałom. „Wrodzony talent” jest niezem jeszcze — ukryty i nie dostrzeżony bywa: nauka, praca, umiejętna ręka kierownika dobywają go dopiero z tej tajemniczej głębi duszy ludzkiej, chwiejnymi zrazu zaczyna stąpać krokami, dużo tam jest utykań i niepewności, sąd wszelki a priori jest niemożliwy, bywają jakieś przebłyski, lecz nie wiadomo czy pochodzące z błędnych, świetlanych lecz krótko trwających ogników, czy to jest promień w ogromnych głębiach jeszcze ukrytego słońca. Nauka coś może zrobić z tych ogników, lecz one same przez się nie mówią nic prawie, lub bardzo mało.

Inaczej dzieje się z talentem, w którym od razu rozpoznajemy iskrę Bożą... Zanim nauka dłoń

swoją mu poda, on sam już o sobie powiedział. Nie pokazywano mu wzorów, nie powiedziano nie jeszcze o zasadach piękna: wzór stanął przed jego oczyma w otaczającej go przyrodzie, a piękno sam z duszy swojej wysnuł. Jedno coś — zwraca oczy zuawcy — i ten powiada: dajcie mu naukę, a może sięgnąć po niewiedniejący nigdy liść wawrzynu. W pierwszym wypadku systematyczna nauka wydobyla talent, w drugim — talent sam się okazuje i wzywa tylko naukę do pomocy. Tę iskrę bożą, ten „pazur lwi” talentu dostrzegli w Biegasie ludzie, umiejący sięgnąć do głębi tajników duszy, nierozumiejący co znaczą zawisłe różne i podłostki.

O chłopcu z pod Ciechanowa zagadano; ujrzano w nim talent olbrzymi, samorodny, który nie poprzedzany żadną systematyczną nauką przemówił sam za sobą. Ludzie dobrej woli a zacnych serc, trzymający swą dłoń strażniczą na pulsie swojego społeczeństwa, wiedzą dobrze o życiu jakiemu ten organizm ulega. Wiele myśli zacnych marnieje w tym zbiorowym człowieku, wiele talentów przepada, wiele iskiek Bożych przygasa. Jeżeli z tysiąca choć jedna silnym blaskiem zapłonie, to już warto jest coś poświęcić, przecie tę iskrę rozdmuchuje się nie dla niej samej tylko skorzysta z niej i ogół cały.

Ale ba!... bezpieczniejsze są wszelkie nizinki od szczytów... Obca pomyślność—kole, czyjaś sława przyćmiewa blask mój własny.

— Zaawanturowano się z Biegasem, zrobiono zeń już przyszłego Michała—Anioła, a tymczasem jest to sobie bardzo mierny talencik, wykształcony w dwuletniej pracy u jednego z rzeźbiarzy warszawskich. Wszystkie figury, które sam z własnego pomysłu lepił są bezwzględnie lichy—lepsze zaś pobrał z wzorów Kurzawy. Ujrzano plagiat i—zrobiono burzę w szklance wody.

Temi słowami przemówił do mnie, gdym podnosił wartość rzeźb Biegasa, jeden ze zwolenników sztuki fidyaszkowej.

Szeptano, gadano, ba—nawet i pisano w ten sposób, ażeby ostudzić zajęcie się młodym rzeźbiarzem tych pocziwców, którzy do rozwoju jego talentu chcieli dłoń swoją przyłożyć... Mówiono więc: że rzeźby Biegasa są już wynikiem paroletnich studyów, a podsuwając zainteresowanym tą sprawą tendencyjne ukrywanie prawdy—zawiadomiano że: „zapomniano wspomnieć o nauczycielu artyście rzeźbiarzu Antonim Panasiuku” u którego chłopiec uczył się „nie tylko rzeźbić, lecz także czytać i pisać, a widocznie miał dobrą szkołę, gdy przy wrodzonym talencie po tej krótkiej nauce zaczął tworzyć samodzielnie, że drugim „dobrodziejem Biegasa, a raczej Biegalskiego, był i jest ksiądz Rzewnicki, który oprócz przyodzieku płacił miesięcznie rs. 10 na utrzymanie chłopca w Warszawie.” Oskarżono też „protektorów” Biegasa o „zamilczenie” kilkunastomiesięcznej nauki u p. Panasiuka dla tego „ażeby w ten sposób powiększyć szanse stawki na wygranie mecenasa czy mecenasów dla swego protegowanego.” Wygłoszono nawet zdanie, iż należałoby się „poinformować u. p. Panasiuka, co wart ów chłopiec pod względem moralnym i umysłowym” oraz, że jedynie Towarzystwo sztuk pięknych „powinno i może talent ocenić i zebrać dokładne wiadomości o osobie, a z daleko większą od dziennikarzy kompetencją odzywać się do publiczności o poparcie i środki kształcenia młodocianych talentów.”

Cóż z tego wynika?... Posłuchajmy odprawę jaką dał Poseł Prawdy.

„Jak widzimy z obu tych komentarzy, sytuacja jest przykra ale jasna. Dzięki czujności stróżów dobra publiczności, prawdy i sprawiedliwości „protektorowie Biegalskiego” przylapani zostali na gorącym uczynku oszustwa, „zamilczawszy” bowiem o jego studyach „w dobrej szkole” u „artysty rzeźbiarza” „aby powiększyć szanse stawki dla wygrania mecenasa” przedstawili uzdolnionego w sycerstwie i wykształconego umysłowo młodzieńca jako prostaczka, w którym talent objawił się samorodnie, przeważszy go przytem dla lepszego efektu Bie-

galskim. Postąpili oni niby przedsiębiorcy Panopticum, którzy przykleiwszy na karku zwyczajnemu Müllerowi końską grzywę i pomalowali go w ciałach fioleto, pokazują go, jako cud natury, pod nazwiskiem księcia y Pradilla don Kakao el Indigo. Rzuciwszy dalej słuszne pytanie: „dla czego literat, który studiował sztukę i poznał arcydzieła rzeźby w największych muzeach europejskich, ma posiadać mniej kompetencji w sądzeniu jej, niż adwokat, rejent lub ktokolwiek inny, należący do komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych?” — powiada śmiało: „że całe przytoczone wyżej oskarżenie, wraz z pominiętymi jego dopełnieniami jest okazem w swej lekkomyślności i złośliwości kłamstwem. Bo:

1) Zarówno Prawda, jak i inne pisma, które życzliwie zaopiekowały się Biegasem, nie *przemilczały* ani o księdzu, który pierwszy nim się zajął, ani o jego pobyty u p. Panasiuka.

2) Ow p. P. wcale go nie kształcił ani w rzeźbie, ani w żadnej nauce, lecz zatrudniał go w swym warsztacie przemysłowym, nie pozwalając na żadną samodzielną pracę artystyczną, a przekonawszy się, że nie będzie miał zeń pożądanego czeladnika, wydalil.

3) Biegas rzeźbił od wczesnego dzieciństwa i wykonał bardzo piękne utwory w drzewie, zanim jeszcze widział swego mniemanego mistrza, i właśnie te jego prace dały zapewne nadzieję p. Panasiukowi, który wyrabia ornamenty stolarskie, że będzie zeń miał dobrego robotnika.

4) Od pół roku Biegasem opiekuje się wyłącznie d-r Rajkowski, u którego on mieszka.

5) Towarzystwo zachęty sztuk pięknych okazało tyle „kompetencji”, „powagi” i życzliwości dla młodego artysty, że pozwoliło umieścić jego śliczne utwory w swojej *kancelaryi* i kazało po kilku dniach uprzątnąć, jako śmiecie zanieczyszczające przybytek, którego mogłyby być ozdobą.

Musieliśmy przytoczyć czytelnikom naszym tych pięć punktów odprawy, a zarazem wyjaśnienia, jak rzeczy z Biegasem stoja—ażebym, będąc źle poinformowany przez pisma niechętnie rzeczonyj sprawie—nie mieli opaczego sądu tak o tym podniesionym i przez nas niezwykłym talencie Biegasa, jako też i o tych, którym przyszłość młodego artysty na sercu leży. Dla dowodu zaś jeszcze, o rzekomym wykształceniu Biegasa w nauce czytania i pisania—Poseł Prawdy przytacza list chłopca *in natura*, w którym własnorecznie Biegas opisuje swoje życie i studia artystyczne. Wykształcony młodzieniec w nauce u pana Panasiuka, tak pisze:

„Od 7 lat życia zacząłem, robić kozikiem z drzewa rozmaite figurki i zgliny. Razu, jednego takiego chłopca wyrzuciłem którego wedwoch niemożliwym poradzić i potem wiele innych, i gdy zobaczyłem na odpuszcie, jako figury to posłem do domu i zaraz lepiłem takesame. I potem matkami zmarła, a nademnosie wszyscy znecali bo ja niechciałem tego robić co mnie kazali tylko skłowałem się w jaki kąt i wzięłem kozika i lepiłem sobie bezpiecznie. Jednego razu przyszedł raz do mego szwagra od Ksiedza Rzewnickiego furman który wzięł jedne figurki na pokazanie księdza Rzewnickiego, jak ksiądz te figurki zobaczył zaraz na drugi dzień przyjsz kazał. I na pierwszy wstęp kazał mi zrobić pana Krasńskiego. I duże służące jedna miała w ręku koszyk, a 2 miała swoje całe gospodarstwo, bo ona miała przy sobie świnię i kury. I nawet były podobne do swoich portretów i dziewczynę która niosła dzban wody i chłopca który bił babe i dwóch chłopców którzy się próbowali i babę zwarzachwią. I następnie ksiądz Rzewnicki zaprosił kilka panów i ksiądz których bardzo dziwiło że chłopiec bez nauki potrafi tak wyrobić. I zaraz zrobili składkę i ksiądz Rzewnicki zawiuz mnie do Warszawy do pana Panasiuka który mnie miał uczyć. I w początkach dał mi nogi od stołów rzeźbić i to nałuka była dalsza i ja raz pokrywom zacząłem robić świętego jana Nepomucyna to on jak to Panosuk zobaczył wydar mi z reku i kazał spalić. I jak Panosuk figurę zrobił to ja musiałem wysłufować i ja uczyłem się slufowania u pana Panasiuka. Opruc orgamietów i slufowania nie więcej nieuczyłem się. Bo się chwali pan Panasuk, że mie uczył pisacz i czytać rzeźbić ale to jest niemożliwe żeby Panosuk kogo nałuczył bo on jest chytry i chce ażebym był jednym rzeźbiarzem na świecie. Raz posłem na wystawę sztuk

pięknych jak on się dowiedział o tem mówił do mnie że niemasz prawa chodzić po żadnych wystawach, że jak jeszcze raz pójdziesz to cie wypcham na łep do ksiedza.

Jeden pan powiedział mnie, że nau lcyi nowym świecie jest rzeźbiarz który nazywa się Chole i on był ksiedza znajomy ja posłem do niego i prosił aby nie mógł uczyć i kazał mi przychodzić w niedzielę o godzinie dziewiętej. Ja przychodzić. Jako się Panosuk dowiedział o tem i powiedział że cie wygnam i w kuryjeze rozpisze żeby cie nikt nie przyjął i z tego bardzo zachorowałem i przyjechałem do ksiedza Rzewnickiego i bardzo zachorowałem i pan Rajkowski przyjechał do mnie kurować pan Rajkowski wzięł mnie do siebie, aby mie mógł nauczyć pisac i czytać.

Zachowując całą właściwość stylu Biegasa i znaki pisarskie, przychodzimy do przekonania, że p. Panasiuk nie wiele zajmował się chłopcem, zaśluga zaś nauczycielskie jeszcze się zmniejszą, gdy powiemy, że Biegas od pół roku już uczęszcza do szkółki miejskiej w Ciechanowie. Prostota zaś opowieści Biegasa o swoich losach, bytności w Warszawie i nauce w niej pobieranej u pana Panasiuka, nie daje prawa podejrzawać go o jakiekolwiek kłamstwo.

Zkąd więc i dla czego powstały głosy o nauce rzeźbiarskiej chłopca, ta chęć ujęcia mu talentu i powstrzymania życzliwych od przyjsia mu z pomocą? Cóż mogło być ku temu pobudką, jeżeli nie marna zawiść, ten dyabeł siedzący w człowieku, zazdrozczący innym powodzenia lub samej myśli o niem? Były już głosy, które składkę na rzecz wykształcenia chłopaka nazywały wprost żebranią, uczynkiem, za który w przyszłości nie koniecz- nie Biegas zachwycony będzie, bo wszelki datek upokarza i wstydzi.

Zapewnel—ale—kto zabroni Biegasowi, kiedyś, w przyszłości, gdy talent się jego może rozwinie a los się uśmiechnie—wypłacić się tym, którzy w ciężkich chwilach tak chętnie mu dłoń pomocy podali? Ten, kto *uczuje* tylko, że datek rumieniec na twarz wywołuje—potrafi się uisścić z tego moralnego długu, a sposoby ku temu się znajdują. Nas trochę śmieszy ta zbytnia dbałość o czyjs tam honor, to przedczesne opiekowanie się wstydem, które do jednej tylko prowadzi konsekwencji: ażebym w przyszłości Biegas się nie wstydził zaofiarowanej mu dziś pomocy,—nie dawajmy nie Biegasowi. Równa się to skazaniu talentu na zagładę, ku czemu też chyba zostały skierowane głosy tych stróżów Biegasowej moralności.

Niestety—strzał chybił celu. Fundusz na kształcenie Biegasa jest prawie zehran, albowiem jak donosi „Kurier Warszawski” na rachunek 400 rs. przez 4 lata za pośrednictwem D-ra Rajkowskiego pięciu uczestników zobowiązało się płacić rs. 115 rocznie; w redakcyi „Prawdy” p. M. Kiniowski z Jeleniowa złożył rs. 300 (co wynosi 75 rocznie), doktorowie: Baranowski, Dunin, Krajewski, Z. Kramsztyk zobowiązali się płacić po rs. 25 rocznie (i pierwszą ratę wnieśli), d-r Benni rs. 20—razem 195, co z poprzedniami stanowi summe 310 rs. rocznie. Brakujące rs. 90 odnajdzie się już łatwo. Głos wołającego nie rozbrzmiał w puszczy — a jeżeli społeczeństwo nasze pozyska wielkiego talentu artystę, dobrodzieje Biegasa już przez to samo będą sowiec wynagrodzeni.

A teraz rozejrzyjmy się trochę po świecie — Mróz... To wiemy! W piecach palą ludziska! To także nie nowina! Głupio jest trochę... Stara to jak świat prawda — Więc... al... podwoje już nam swoje otworzyła Diorama Tatr —

Byliśmy—widzieli i po trzygodzinnem rozkoszowaniu się pięknoscią górskiego krajobrazu, wyszliśmy jacyś rzeźwiejsi, przejęci zarazem uwielbieniem dla potęg sztuki.

A na czem jej potęga polega?

Na mistrzowskiem—złudzeniu...

Zobaczmy Tatry.

Ciemnym korytarzem wchodzimy wdół, później podnosimy się ku górze. Wędrówka ta jest dostatecznie długa, ażebym wzrokowe wrażenia doznane przedtem zatarły się prawie zupełnie. Krętymi

schodami, z ciemności wychodzimy na światło dzienne i oto nagle, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, rozciąga się czarodziejska kraina, której nie spodziewaliśmy się ujrzeć, pomimo, że zśliśmy zobaczyć Tatry odtworzone ręką malarzy.

Tak—ale my nie widzimy malowidła—to żywa, cudna, boska natura stanęła przed nami w niezrównanej potędze uroku. Olbrzymie szczyty sięgające chmur i błękitów porywają nasz wzrok za sobą, przed nami niezmiernie przepaście, na dnie których błękitnieją jeziora tatrzańskie. Łańcuch gór biegnie w dal kilkomilową, gdzie tylko spojrzysz zdumiewa cie ich ogrom, leniwie białe obłoki unoszą się na niebie, a co za niebo, co za niebo!... Zapominasz, że ciebie otacza przestrzeń stukilkunastu metrowa—nie! bo zkądby się wzięły te olbrzymie a niezgłębione przepaście, te uśnieżone turnie, kryjące swoje skaliste wierzchy w błękitach? Złudzenie ogarnia ciebie tak potężnie, że oddychasz głębiej, szerzej, swobodniej, zdrowiej i w zapomnieniu zupełnem szepcesz:

— Ach! co za powietrze! co za powietrze!... Jesteś w sercu Tatr, na szczycie Miedzianej, wzniesiony nad poziom morza przeszło 7,000 stóp... Sinawe boki Wołoszyna spadają scianą zbiegając ku cudownej dolinie Roztoki. Zakrywa ją grzbiet siodełkowaty Swistawki, lecz jeżeliś był w Tatrach i znasz je dobrze, wiesz, że tam, w głębi, z Pięciu Stawów rzuca się w przepaść precudny wodospad Siklawy. Nie widzisz go, lecz mimowoli wyteżasz acho, czy czasem do ciebie nie doleci grzmot fal spienionych i łoskot unoszonych przez nie kamieni.

U stóp twoich przepaść, w której dostęgasz ciemno-błękitne płamy jezior tatrzańskich. To dolina Pięciu Stawów. Góry się piętrzą i piętrzą, aż wystrzelają ku niebu granitowym zębem Swinnicy a hen—w dali, czapkowaty łeb swój wysuwa Koscielec.

Znam Tatry—lecz lat dwadzieścia przeszło, jak stałem w tem miejscu i rozpoznawałem szczyty tych gór rodzinnych. Obraz wyrzuty w ów czas nie zatarł się mi w pamięci—poznałem każdy załom skały, każdą ścieżynę, po której koza i śmiały wędrowiec krok tylko stawia. To Hrube Wierchy, za niemi wysuwa się olbrzym gór madyjskich—Krywań... A oto najwyższy szczyt Tatrów Polskich, Mięguszkowski zwany, wyrwał się z objęć swych braci skalistych i czoło wznosił wysoko, wysoko, jakby więcej błękitów chciał zobaczyć. Nie każdemu on pozwoli na wyniosły szczyt swój wstąpić: trzeba mieć oko pewne i nogę niechwiejną i giętkość węża i śmiałość orła, by barków jego dotknąć i stanąć na czole. Nie trudno o zawrót głowy, o zachwianie się stopy—a wtedy runiesz w otchłań najeżoną skalami i „chyba Tatry za tobą zapłaczą chmur swych żałobą.”

Tam co?...

Granitowa ściana Rysów stoczyła się w nurty Czarne Stawu spoczywającego w kotlinie, gdzie chmury na nocleg się zbierają i śpią dopóki ich nie wygonią podmuchy wiatru. Srebrna nitka Białki wąską strugą spływa ku Morskiemu Oku, owej gwieździe Tatr, marzeniu każdego podróżnika.

Ale stoisz na szczycie 7,000 stóp wysokości. Ciemna plama Morskiego jeziora zaledwie dostrzeżoną marszczy się falą. Nie widzisz mchów czerwonych, limb wonnych otaczających jezioro—to wszystko zmałało, przypadło do ziemi, znikło — Nie kołyszając cię do marzeń słodkich uroczę doliny Tatrzańskie—otacza ciebie świat umarły, olbrzymie złomy głazów, dzikie granity skał, jakaś potęga grozy. Nad omglonemi wodami Morskiego okazywa się Mnich i pacierz swój szepce, dalej, jak szczyt piramidy, wznosi się Wysoka i ostry ząb Gorłucha. Od jeziora biegnie ścieżyna ku wrotom Chałubińskiego, ztąd też się wchodzi na szczyt Miedzianej zkąd podziwiasz przepyszne dzieła rąk Bożych.

Patrz! w połowie drogi zatrzymali się wędrowcy żądni wrażeń. Na rozestawnym szalu spoczywa jakaś turystka, dwóch towarzyszy stoi przy niej. W dalekiej perspektywie górale rozkładają ogień, a oto nad przepaścią zatrzymało się trzech dzielnych taterników. Kierując lornetkę i poznając znajomych dawnych: Chałubiński, Walery Eljasz i ksiądz Stolarczyk. Ksiądz na bok się nieco usunął bo—przepaści ciągną.

Przerzucasz wzrok za siebie—i po szczytach gór pomniejszych biegniesz w przestrzeń ogromną.

Patrz! tam, tam—daleko... wśród wzgórz i ledwie dojrzonej drzew zieloności dostrzegasz Szczażnicę... W pamięci twojej staje biała wstęga Dunajca, czarownej piękności Pieniny i na samotnej skale posępne mury Czorszyńskiego zamczyska. Lecz tego już okiem nie dojrzyysz—lecz jeśli był tam—wskazesz ręką punkt gdzie są.

Nie ma w moich słowach przesady—artyści dokonali olbrzymiego zadania, nie twórcami, lecz stwórcami stali się. Mistrzowsko są malowane skały, gór szczyty i ich bieg w dal kilkunastumilową—lecz wprost do obłędu cię doprowadza, to—niebo. Nie chcesz wierzyć, choć wiesz, ażeby to zrobiła ręka ludzka, taka w niem głęb niezmierną, przezroczystość bajeczna, taki powiew świeżości.

A owa mgła górską, przejrzystą, szklaną—zda się ci, że dość jest głębiej piersią odetchnąć ażeby wilgoć jej wchłonąć.

Do złudzenia jakie Tatry wywołują, przyczynia się znakomicie ułożony teren z głazów naturalnych lub gipsów malowanych, który łącząc się z płótnem stanowią doskonałą jedność. Darmo wzrok swój wysiłasz—nie poznasz gdzie sztuka a gdzie natura dłoń sobie podają.

A jednak...

Czy jest—ale?

Jest—lecz to moje osobiste zdanie, które wypowiadam, dla tego, że gdyby tego *ale* nie było nieby już nie rozpraszało złudzenia, że jesteś w górach.

Oto—stoi przed żelazną barierą. To nie—inaczej być nie może. Lecz wrażenie psuje łokciowy gżems wystający za tą właśnie barierą, od którego dopiero zaczynają się przepaście, skały i gór stoki. Wolałbym ażeby tego gżemu nie było, lecz głowy opierały się wprost o barierę—zdaje mi się, że efekt byłby kolosalniejszy i nie by już na przeszkodzie powyższemu złudzeniu nie stało.

Czy Tatry będą miały powodzenie?

Różne o moje uszy obijały się głosy. Przeważało jednakże zdanie, że—że... martwa natura nie przemówi do uczucia ludzi, że, na przykład Diorama Berezyny, stokroć potężniejsze wrażenie czyni.

— Gwar bitwy, wrzawa, ruch wojsk, sceny tragiczne—to stokroć więcej wstrząsa, niż nieruchoma piękność widoków tatrzańskich.

Tak do mnie mówił jeden z tych, który widział Berezynę...

A nam się zdaje, że do takich panoram tylko martwa natura najlepiej się nadaje. Owa wrzawa wojenna, gwar i ruch—może zrobić wrażenie na pierwszy rzut oka tylko. Bo—w rzeczywistości, *nie* gwaru, wrzawy ani ruchu. Szalony atak kawalerii nagle skamieniał i stoi nieruchomie, spadający żołnierz z konia—*nie* upada, sztandary napoleońskie palą się w ogniu—zamarzły... a przytem cisza... Na tym właśnie skamieniałym ruchu—prawda ogromną porażkę ponosi.

A Tatry stoja!...

Złe miałbym wyobrażenie o tych, którzyby nie odczuli tej przedziwnej piękności przyrody.

??

MEDYTACJE W JESIENI,

przez

Jaroslawa Vrhlickiego *).

Gdy

pod liśćmi owoc dojrzały
Zapłonął, głosy twe wewnątrz krwawe
Na sąd surowy nagle wezwały,
Wołając: Teraz czas składać sprawę.

Co w głębiach łona twego dojrzało,
To światu teraz dobądź z ukrycia,
Co tam się rwało, płonęło, wrzało,
Bo było myślą twą, treścią życia,

Czem obudzałeś, pętałeś duchy,
Czyś był zwycięzca, czy powalony,
Czy w koło świat był dla ciebie głuchy,
Lub też ci klaskał niby szalony.

To wszystko jedno, byle to była
Praca, czy ciężki trud jak z kamienia,
Czy też słowicza pieśń błoga, miła,
Która dla wielu nie ma znaczenia.

To wszystko jedno, byle robota.
Niech słodkie będą ci gwiazd ponęty,
Już teraz prawo masz do żywota,
Który jak praca i trud jest święty.

Przetłóżył z czeskiego

Bronisław Grabowski.

LUBRAŃCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dalszy ciąg).

„Dowiadujemy się o zaręczynach panny Jadwigi D. córki nieżyjących już Ireny S. i Wacława D. z hrabią Henrykiem Lubrańskim synem Jana i nieżyjącej Heleny z książąt N. Ślub odbędzie się w czerwcu.”

Ogłoszenie to umieszczone było w najpoczytniejszym z pism naszych na trzeci dzień po przyjeździe Henryka Lubrańskiego do Warszawy. Zawiadomienia podobnej treści otrzymali wszyscy bliżsi i dalsi znajomi i krewni rodziny Lubrańskich.

Nie upłynął tydzień, a następujące słowa czytano w tem samym piśmie:

„Szanowny Panie Redaktorze. Wiadomość, jakoby mój syn zaręczony był z panną Jadwigą D. jest zupełnie mylną i nieuzasadnioną. Panna D. jest bliską kuzynką mojego syna dlatego ten związek nigdy nie mógłby nastąpić. Uprzejmię prosić Szanownego Pana o zamieszczenie w swoim piśmie tego mojego sprostowania dla objaśnienia osób, któreby się tą kwestyą mogły interesować.

Z szacunkiem.

Hrabia Jan Lubrański.

Mówiono wiele o tych dwóch zawiadomieniach, potęgowano je i komentowano, śmiano się potrochu, bo czyż jest jakikolwiek przedmiot, z któregoby się ludzie nie śmieli?

Tymczasem Henryk bawił wciąż w Warszawie, a zapytany o swoje projektowane małżeństwo odpowiadał, że jego zamiary nie uległy żadnej zmianie, że ślub odbędzie się w czerwcu, że jego ojciec z wiekiem dzieciennie—dlatego chce być gorliwym od papieża katolikiem, który przecież zezwala na związki podobne.

Mijały tygodnie, minął i karnawał, nudne postne rauty przypłynęły z błotem wiosennym. Zabijano czas tem i owem, wykończyły się małżeństwa załedwie niewyraźnie w karnawale szkicowane; lub też przeciwnie, rozpraszały się w niwecz marzenia rozmaite, wysnute nieśmiało wśród kilku obrotów walca, po skocznym mazurze z dzwieczącą nadal w uszach skoczną melodią i słowami zręcznego flirtu, które się wsunęły w uczucia i pamięć na skrzydłach tonu, uśmiechu i spojrzenia, a myśl opłotły siecią wspomnień.

Henryk zabijał czas taksamo jak i inni. Trochę się nudził, trochę bywał w świecie lub odwiedzał swoje prywatne kawalerskie znajomości, trochę

przesiadywał w klubie lub chodził na odczyty. Interesowały go najwięcej kolonie letnie dla biednych dzieci warszawskich.

Jednego dnia zupełnie niespodzianie zjawił się u niego Szański.

— Al! Jak się masz! Gdzieżeś bywał! Skąd wracasz?

— Z całego świata. Nie z dobremi dla mnie wieściami. Wszędzie kołatałem, a posady nie znalazłem nigdzie. Jadę do Ameryki.

— Żartujesz!

— Nie żartuję. Znam dobrze kilka języków, tem będę wojował. W handlu na wielką skalę taka umiejętność jest bardzo poszukiwaną. Bylem się tylko gdziekolwiek zaczepił, to może jakim zręcznym, a szczęśliwym obrotem majątku się jeszcze dorobię.

Henryk się zamyślił.

— Zazdroszczę ci silnej woli i wiary w przyszłość—rzekł—a z Helenką co będzie?

— Właśnie dla niej to robię, że wyjeżdżam. Ostatecznie, zostając tu w kraju mógłbym wegetować na stanowisku jakiego prywatnego oficjalisty, bez żadnej nadziei wybicia się na coś więcej, ale nie chcę mojej żony skazywać na takie życie. Zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, ażeby jej powrócić te wygody i ten tryb życia do jakiego była przyzwyczajoną. Biedactwo. Nawet się z nią nie pożegnam. Umyslnie do Lubrańców przed wyjazdem nie wstępuję, ażeby uniknąć wszelkich rozczułań, niepotrzebnych i przykrych scen... możeby mi chciała towarzyszyć, możeby prosiła, żebym został... i możeby uległ, a tego nie chcę... Głupie jest życie.

Szański wstał, zapalił papierosa i chodził nerwowo po pokoju.

— Chciałem się z tobą widzieć koniecznie—ciągnął dalej—i prosić cię, żebys się nią opiekował przez czas mojego w Ameryce pobytu.

— Możesz na mnie liczyć. Myślałbym o niej i bez twego przypomnienia.

— A powiedz jej, niech się nie martwi i nie płacze, że ja od niej daleko nieszczęśliwszy, ona przecie zostaje między swoimi; ale wszystko minie. A teraz mówmy o tobie. Kiedy twój ślub?

— W czerwcu. Jak się żałoba w Lubrańcach skończy.

— Dzielny będziesz chłopak, jeżeli nie ustąpisz.

Rozmowa toczyła się dalej swobodnie i szczerze, Szański pełen był werwy i życia, pełen najlepszych myśli, pełen świetnych i pięknych planów na przyszłość swoją i Henryka. Henryk zaraził się jego werwą, sam się ożywił coraz więcej.

— Czasby nam już iść na obiad—rzekł spoglądając na zegarek, którego igielka wskazywała pół do szóstej.

— A dobrze. Jeść mi się chce. Zjem dziś dobry obiad na pożegnanie macochy Europy.

— Głupia stara ladaecznica. Nawymyślały jej za ciebie i tych wszystkich, którzy z niej uciekają, żeby żyć mogli.

Przebrali się i wyszli na miasto.

— A co robić będziemy po obiedzie—rzekł Szański—to jedyny wieczór, który z tobą mogę przepędzić.

— Chodźmy do ciotki Hornowiczowej. Napewno te panie w domu zastaniemy, gdyż wiem, że nie miały na dzisiaj w planie żadnego rautu ani proszonego obiadu.

Od czasu swego przyjazdu do Warszawy Henryk był prawie codziennym gościem w domu pani Hornowicz. Jako syn jej siostry czuł się tam jak u siebie, przychodził o każdej porze i godziny całe schodził mu na pogawędkę z Marylką szczerze i otwarcie, o tem co go najwięcej obchodziło—o Jadwini. Opowiadał jej rozmaite z Lubrańców szczegóły, zdarzenia wszystkie z ostatniego dnia swego tam pobytu, codzień na nowo, codzień z temsamem zajęciem, z rozkoszą powrotu do drogiego wspomnienia. I planów całe tomy wysnuto już na przyszłość.

A jakich cudnych! Wspaniałych! Szczęśliwych! Nie było w nich cieni, dysonansów ani rozczarowań, chyba tylko nazwą podobne były do życia. Marylka także miała w nich swoje miejsce. Miała być Jadwini przyjaciółką, powiernicą, i towarzyszką, miała ich często odwiedzać w Woszatynicach, bawić tam miesiącami, i wszyscy mieli być szczęśliwi.

*) Ze bierku „Dziedzictwo Tantala“ z oddziału „Pragnienia i modlitwy.“

Nie potakiwała ani przeczyła, Henryk brał milczenie za odpowiedź przychylną, szedł dalej głośno z swoją myślą i marzeniem, zapatrzony w przyszłość i wspomnienie rysów Jadwini. Nie spojrzał na to co było obok niego, nie widział uczuć i myśli, które posiał, nie widział rysów zamglonych smutkiem i współczuciem, nie odgadł wyrazów, które się na usta cisnęły.

„Nie dręcz mnie! Będę najszczęśliwsza jeżeli będę zdala od was!” Prawie ciągle wyrazy te kołatały się w myśli Marylki. Lecz serce mówiło co innego. Komuż będzie się Henryk zwierzał ze swoich uczuć jeżeli ona się odsunie? A to tak przyjemnie móżdż mówić o tych, których się kocha! To już jest cień szczęścia! A czyż nie warto swoją przykrością lub przynusem okupić choćby jedną przyjemną chwilę Henryka? I twarz złociła się uśmiechem, a usta słodko wymawiały:

— Opowiedz mi jeszcze co o Jadwini. Tak lubię słuchać, gdy mówisz o niej!

Tego dnia Marylka liczyła napewno, że Henryk wieczorem do nich zajdzie. Obydwie z matką siedziały w salonie, zajęte rękami robotami.

Nie widać go jakoś długo. Czyżby mu nie było spieszo do poufnej pogawędki? Nareszcie ktoś zadzwonił. Marylka spojrzała w lustro i poprawiła jakiś niedostrzegalny nieład w grzywce. Nie, to nie on, to pani N. przyjaciółka jej matki. Jakaż dziś brzydka i niesympatyczna!

Znowu ktoś zadzwonił, znowu okazało się niezbędnym grzywkę poprawić. Tak, to Henryk Lubraniecki razem z Szańskim.

Po przywitaniu starsze panie sobą się zajęły, młodzi ludzie usiedli na uboczu.

— Wiesz co, przyczepiliśmy Marylce na popielec śledziową główkę—żartował Henryk—bardzo się skompromitowała, karnawał przeszedł, a ona jeszcze nie zaręczona. Przysporzyła znaczną liczbę nieszczęśliwych.

— Nie spieszo mi jeszcze zamąż wychodzić—odrzekła.—A co słychać z twoimi letniskimi koloniami?—spytała Henryka by odwrócić temat rozmowy.

Kolonie letnie dla biednych dzieci z bruku Warszawskiego pochłonęły Henryka w ostatnich czasach.

— Ta gałąź dobroczynności jest najdonioślejsza w skutkach—mawiał nieraz.—Dając zasób sił i zdrowia młodemu pokoleniu pomnaża się siły żywotne społeczeństwu przyszłości. Silne jednostki stanowią silny naród, a w zdrowym ciele i—o zdrową duszę nie trudno.

Przygotowywał w Woszatynicach pomieszczenie na pięćdziesiąt dzieci i zamierzał, z czasem, gdy obejmie cały majątek w swoje ręce rozszerzyć dobroczynną działalność w tym kierunku. Liczył też bardzo na współudział Jadwini.

— Zazdroszczę ci,—rzekła Marylka—żeś znalazł takie zajęcie, które ma cel pożyteczny, interes wzbudza i choć w części myśli wypełnić jest zdolne. Nas panien smutna jest pod tym względem dola, ręce mamy zawsze skrepowane. Pusto tak jakoś czasem i dziwnie, a uciec niema dokąd, bo wszędzie taka sama pustka. Co do mnie wymyślam sobie najrozmaitsze zajęcia, pomimo to nudzę się prawie bezprześcannie. Od jakiegoś czasu zajęta bardzo jestem zbieraniem ludowych pieśni i legend. Prześliczne myśli bywają tam czasem rozrzucone, a wyrażone z taką prostotą i naiwnością, że mimowoli dziwić się trzeba, dlaczego inni ludzie potrzebują napisać całe tomy dla wypowiedzenia tego co się tam mieści w kilku słowach.

— To źle Marylko, że się tak nudzisz—wtrącił Szański—to nienaturalne w twoim wieku. Ale dam ci na to sposób jedyny i skuteczny, nie znudzi cię, napewno ręczyć mogę: Zakochaj się!

Nie było odpowiedzi.

— A zapominasz o swoim talencie—rzekł Henryk.—Nie masz pojęcia jaką wielką artystkę mamy przed sobą dodając zwracając się do Szańskiegos—posiada wyjątkowy talent do modelowania, robi prześliczne rzeczy z gliny i terakoty. Zanim się spostrzeżesz, ona trochę palcami poprzebiera, miękką terakotę dotknę w kilku miejscach i już jest gotowa figura, pełna życia i wdzięku.

— A gdzież są te arcydzieła?

— Ukryte przed oczami profanów. Taka skromność to jeden dowód więcej prawdziwego talentu. Tylko w Marylki pokoju można to oglądać.

— Niezmiernie jestem zadowolony. Czy mi nie nie pokażesz?

Marylka wstała, Szański i Henryk poszli za nią do jej pokoju.

Pokój był nieduży, skromny, odzwierciedlał swoją mieszkankę. Nie uderzał fantastycznością ani jaskrawymi barwami, nie znać było małpiarstwa mody w chińszczyznach, parasolach, bożkach indyjskich i amuletach, i całej egzotycznej gracji niewłaściwie tak często przenoszonej na grunt jej nieodpowiedni, w nieodpowiednią atmosferę i otoczenie, wśród ludzi nie rozumiejących jej myśli ani przeznaczenia. Było wiele pięknych, estetycznych sprzętów, ale dostrzegało się je zaledwie po bliższym rozpatrzeniu.

Na biurku leżało kilka zeszytów z zanotowanymi pieśniami i legendami, która Marylka zebrała podczas letniego na wsi pobytu. Jeden zeszyt był większy, oprawiony, zawartość innych przepisywała tam po raz wtóry, starannie i czysto, zdobiąc stronicę kolorowymi winietkami, wypracowanymi miniaturami w fantastyczne desenie i obrazki, odpowiednie do treści ustępu.

Gdzieindziej była robótka zaczęta i porzucona od niechcenia, szkic obrazka jeszcze bez cieni i koloru, nieskończona barchanowa sukienka biednemu dziecku na gwiazdkę przeznaczona lub książka z kartkami rozciętymi do połowy. Znać było pracowite ręce rwące się do czynu i zajęcia. ale brakowało myśli przewodniej, któraby wszystkiemu nadała formę określoną i skończoną. Nie było jej tam, myśli, duszy widać błędziła po jakiejś dalekiej krainie, tylko czasem, na chwilę, rozumem stamtąd przywołana chwytowała się jakiegokolwiek zatrudnienia by utopić się w niem, zagrzebać i zapomnieć. Ale widać mara jakaś uporczywa czy wspomnienie biegło za nią, pędziło do innego na żadnem się nie zatrzymując, i ręce opadały gdy myśl ulatywała dalej, nie znalazłszy nigdzie tego za czem goniła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

List z Anglii.

Zima w Anglii zapowiada się w tym roku bardzo ciężka, albowiem trwa już na dobre od miesiąca. Sposób opalania tutejszych mieszkań jest nader kosztowny. Mieszkania, aczkolwiek nieźle zaopatrzone, ogrzewane bywają przeważnie za pomocą kominków, które wielką moc opału pochłaniają.

Zima, tak samo jak omal każda klęska, przede wszystkim daje się we znaki ludziom biednym,—tem zaś straszniejszą klęską jest w tym roku, ponieważ idzie w parze z niepamiętną oddawna drożyną. Zapowiedzią onej były: nieurodzaj i posucha w Indjach. Cena chleba wzrosła ogromnie,—przepowiadają głód.

Bezrobocie dorożkarzy niejedną też rodzinę pograżyło w niedostatk. Do 40-u tysięcy ludzi nie pracowało przez czas dłuższy, a zmowy podobne po większej części prowadzą do demoralizacji, której nieodzownym następstwem bywa nędza.

Jak zawsze w wielkim mieście, na przeciwwstawienie nędzy wyliczyć można tysiące przykładów najbardziej wyrafinowanego zbytku.

Wystawy sezonowe, które do owych przykładów zaliczyć można, zamknięte będą z końcem tego miesiąca, ustępują miejsca ponętom, przygotowywanym dla wykwińskiej Londyńskiej publiczności. Pomiedzy rozmaitymi wystawami: metalowymi, stolarskimi, tapieckimi, ogrodniczymi i t. p., godną zanotowania jest doroczna wystawa jastruni (Chryzanthemum) pomieszczona w Kryształowym pałacu (Cristall palace) i urządzona z wielkim smakiem i przepychem.

Jak dawno Chryzantemy w świecie Flory znaczą swe istnienie, dowodzą wykopaliska starożytnych

grobow Egipskich. Pomiedzy innymi zasuszonemi roślinami, badacze znajdowali w sarkofagach doskonale przechowany kwiat jastruni. W Japonii kwiat ten stanowi niejako narodową ozdobę, w kraju Mikada istnieje nawet order Chryzantemy. We wszystkich prawie krajach Europejskich do niedawna jeszcze jastrunie uważane były za kwiat nader skromny i pospolity,—dopiero przed kilkunastoma laty ogrodnicy angielscy poczęli go hodować, sztucznie rozmnażać, i ulepszać jego odmiany, w czem doszli do niebywałych rezultatów.

W Anglii więc moda na jastrunie wzięła swój początek.

Wystawa tegoroczna, ilością odmian i barw rozlicznych, przewyższyła jeszcze wystawy lat poprzednich. Niektóre okazy dochodziły do tak olbrzymich rozmiarów, że już przestawały być pięknymi.

Królowa jest wielką amatorką Chryzantemowizawsz z całym dworem zwiedza wystawę.

Na początku tego miesiąca, u zenitu powodzenia i sławy zmarł powieściopisarz angielski, Jerzy du Maurier. Była to indywidualność na wskroś tak odrębna,—talent w najsubtelniejszych odcieniach tak oryginalny, że śmiało rzec można, iż Angielska literatura nie posiadała podobnego od czasu Thackeraya. Zestawienie tych dwóch nazwisk mimowoli na myśl się nasuwa, ponieważ obydwaj znakomici pisarze posiadali wiele cech pokrewnych. Obydwaj mieli jednako znajomość tak wyższego jak i niższego świata w Anglii i we Francji, prztem: dowcip, serce, wymowę, bystrość obserwacji, łatwość prawienia morałów w sposób nadzwyczaj zręczny i poczytny i do tych wszystkich darów, wybitny talent malarski, który pozwalał im nie tylko piórem, lecz i pendzlem opisywać swoje wrażenia.

Powieść Jerzego Du Maurier „Trilby“ niewątpliwie nieśmiertelni jego imię. Powodzenie tej powieści było wprost bajeczne. W Ameryce rozszło się do 300 tysięcy egzemplarzy. Inne powieści, jak Martian i Peter Ibbetson—przyniosły autorowi tak olbrzymie dochody, jakich dotąd nie osiągnął żaden z powieściopisarzy Angielskich.

Sławę swą Du Maurier zawdzięcza w części stanowisku, jakie zajmował w humorystycznej gazecie „Punch.“ Du Maurier był stałym ilustratorem wymienionej gazety. W redakcyi tejże zapoznał się z najmocniejszym z wydawców Londyńskich, Harpersem, i do niego to znakomity autor zwrócił się ze słowami, które w Londynie obiegły cały świat literacki. „Człowiek nie może żyć samym ponzem.“

Majątek, jaki Du Maurier zdążył pozostawić, jest tem więcej zadziwiający, że zaczął pisać bardzo późno. Wziął się do pióra, mając lat przeszło trzydzieści, sam nie wiedział tak długo, iż posiadał taki wybitny talent pisarski.

Pewnego dnia odwiedził go przyjaciel jego, powieściopisarz, Henryk James i narzekał przed nim że się czuje wyczerpany i nie może znaleźć dość zajmującej fabuły do zamówionej przez jedno z pism powieści. Du Maurier na poczekaniu opowiedział mu nadzwyczaj zajmującą i sensacyjną historię. James zachwycony, zapytał czy to opowieść prawdziwa, na co usłyszał w odpowiedzi, że opowieść, która go tak zajęła, powstała w głowie opowiadającego w miarę jak mówił. James zdumiony łatwością tworzenia, namawiał gorąco przyjaciela, żeby spróbował swoich sił autorskich. Wtedy to ukazał się Peter Ibbetson.

Jako malarz i doskonały rysownik wybierał przeważnie piękne modele. Francuska krew przebiegała się tu w jego smaku. Szczególniej idealizował kobiety i dzieci. „Dostę,“ mawiał,—„że piórem dotykam niejednej szkarady, niechaj przynajmniej pendzel mój będzie wolnym od niej.“

Studia malarskie odbył w Paryżu, razem z Poynterem, Armstrongiem i Lamontem. Życie artystyczne, jakie spędził w stolicy Francji stanowi główną ośnowę „Trilby.“

W życiu prywatnem Du Maurier zasłużył sobie na ogólne uznanie i szczerą sympatię. Umarł uwielbiany przez rodzinę i przyjaciół i żalowany serdecznie przez liczny zastęp ludzi, którym wiele świadczył dobrego.

Jeden z wymienionych powyżej kolegów Du Mauriera, Edward Poynter, w tym miesiącu wybrany został, większością głosów, na prezesa królewskiej akademii sztuk pięknych. Jestto nadzwyczaj tru-

dne do pozyskania i nader zaszczytne odznaczenie, ponieważ wymaganiem jest, aby prezesem akademii był nie tylko artysta pierwszorzędnej siły, ale nadto człowiek nieposzlakowanej opinii, wykształcony wszechstronnie, posiadający przytem zalety towarzyskie i dobrze rozwinięty zmysł administracyjny. Kto wszystkie te dary w sobie łączy, może śmiało nazwać siebie niezwykle przez naturę uposażonym człowiekiem.

Poynter urodził się w Paryżu w 1836 r. Obraz jego, — Izraelici w Egipcie, wystawiony w 1867 r. postawił go w rzędzie najpierwszych współczesnych malarzów. Trudno było by wliczyć tutaj wszystkie znakomite utwory jego pędzla. Najbardziej znanymi i reprodukowanymi po wielu pismach angielskich, francuskich, niemieckich i innych są: Perseusz i Andromeda, Festival, Atalanta, Złoty wiek, Diadumene, Zenobia, Zaciszny kącik, Na stopniach świątyni i najwspanialsze ze wszystkich, wielkie płótno, zawierające moc figur i przedziwnych akcesoryi, Spotkanie króla Salomona z królową Saabą. Dziełem Poyntera są także znakomite freski w pałacu w Kensington i w kościele S-go Stefana w Dulwich, jak również kartony do mozaiki w kaplicy S-go Jerzego, przy pałacu Westminster.

Razem z otwarciem zimowego sezonu, rozpoczął się cykl odczytów najrozmaitszej treści. Podróżnik Holmes, który od lat kilku stale przebywał w Indjach, w łatwej, zajmującej pogawędce, opowiadał o warunkach bytu, głównie zaś o domowym życiu kobiet angielskich w stronie, która do niedawna tak bardzo różniła się we wszystkim od Europejskich krajów.

Ostatnie lata sprowadziły w Indjach nadzwyczajne zmiany, przestały one być krajem, w którym dziadkowie nasi tracili zdrowie i życie. Czas zrobił swoje i obyczaje przywiezione z Europy zatęchły prawie zupełnie ślady tego, co było złem, a zrazem i wiele z tego co poniekąd było może dobrem. Z punktu widzenia ludzi cywilizowanych, Indye bezsprzecznie zyskały na wpływie Europejskiej kultury, — są wszakże tacy, którzy szmerzą, iż pracownicy ich, zawożąc tam pracę swą i sztukę, często wprawdzie narażali osobiste bezpieczeństwo, lecz za to prędko dorabiali się stanowiska i mienia.

Drogi żelazne, wagonami urządzonymi z nowocześniejszą wygodą i zbytkiem, przenoszą podróżnych do najbardziej oddalonych części Indyjskiego państwa. Doskonale zaopatrzone hotele powyrastały na każdej omal stacyi, — wszędzie napotykamy domy, wewnętrznem urządzeniem, zewnętrzną formą, ozdobami, często kosztownymi bardzo, przypominające domy angielskie. Zmiana powietrza, przenoszenie się w lecie z miast w górskie, czy nadmorskie okolice, stały się i tu modą ogólną, zaliczaną dzisiaj do koniecznych potrzeb. Za temi idzie rozrost niepomierny potrzeb innych, urojonych, jak na przykład: wytworne utrzymanie domu, stroje i życie towarzyskie. Razem zaś z temi upadła owa dawna serdeczna gościnność, jaką osiedleni w Indjach Europejczycy okazywali podróżnym i przybyłym ze środowisk cywilizacji.

Brak hotelów i mała liczba przybywających, sprawiały, że każdy czuł się szczęśliwym, mogąc ofiarować swemu ziomkowi gościnność w swym obszer-nym, aczkolwiek podówczas bardzo skromnym domu i cieszył się z przyjemności, jaką był, w jego dość jednostajnym życiu, przyjazd kogoś ze stron dalekich. Z owej gościnności nie pozostało dzisiaj ani śladu. Nadto rozwielenie, tak zwane, życie towarzyskie, zabija prawdziwą gościnność. Każdy chętnie przyjmuje w dom tylko tego, u kogo wzamian spodziewa się być ugoszczonym, lub z kim łączy go interes. Zresztą, każdy potrzebuje rachować się z wydatkami, aby wystarczyć na stroje dla żony i córek, na letnie mieszkanie, opłacenie licznej służby, nierzadko też na utrzymanie owego pozornego blichtru, upodobanie do którego przedostało się i tu, niestety, z wielką siłą.

Indye przestały być dla Anglików miejscem wygnania, do którego niegdyś wyjeżdżali z myślą, że już nigdy do stron ojczystych nie wrócą. Dziś, w niespełna 12 dni, przebywa się przestrzeń, dzielącą Indye od kraju. I właśnie owa łatwość komunikacji tak ważna i błogosławiona w szerszych, ogólnych celach, na życie prywatne, szczególnie na życie kobiet ujemny wpływ wywiera.

Uwaga ta nie dotyczy naturalnie kobiet, których mężowie, lub ojcowie przybywają do cesarstwa na czas ograniczony, krótki, — lecz tych, dla których Indye są „domem“, gdzie spędzić muszą najlepszą, najpiękniejszą część swego życia.

Z przykrością przyznać trzeba, że Angielki, żyjące w Indjach, dalekimi są od pierwowzoru dobrej gospodyni domu i przykładowej niewiasty. Po większej części gonią za sportem i zabawą i każda usiłuje zaćmić drugie strojem i zachowaniem się, zwracając na siebie ogólną uwagę. Przyczynia się do tego wiele ta okoliczność, że mężowie prze-ważnie przez dzień cały zajęci są poza domem, potrzeby zaś intelektualne obejmują tam znacznie skromniejszy zakres niż w Anglii. Nawet tak ogólnie uprawiana sztuka, jak muzyka, tylko w wielkich miastach cesarstwa jak — Kalkutta lub Simla, znajduje liczniejszych amatorów.

Nie brak w Indjach materiału, który by mógł zająć wykształconą i głębiej myślącą kobietę, nad którym popracować byłoby warto. Kobiety przybywające tam nie okazują najmniejszego zajęcia dla miejscowych: zwyczajów, ludzi, przemysłu, religijnych pojęć, tradycji historycznych, słowem, dla niczego, co przeciętnie wykształconego człowieka zająćby powinno. Żyją lata długie w samym sercu tego kraju, lecz kraj ten pozostaje dla nich zawsze zamkniętą księgą.

Ważną przyczyną próżniaczego życia kobiet w Indjach i przyczyną łagodzącą nieco ich winę, jest klimat, do którego trudno się przyzwyczaić. Atoli i w tym względzie przesadzać nie należy. Upały są tam wprawdzie ciężkimi do zniesienia i bywają nawet często powodem choroby, gdy się jednak tę porę w górach przebywa, można pozostać częścią roku z większą znosić odpornością. Spotyka się tu i takich, dla których klimat nad Gangesem, zdrowszym jest, niżli klimat w ich rodzinnym kraju.

Holmes odczyt swój zakończył słowami, zwróconymi do kobiet angielskich, których los skaże może na osiedlenie się w oddalonym państwie.

— Obecni jesteśmy w obcym kraju. Jedyną podporą naszą, pociechą w trudnym życiu, bodźcem do pracy, dźwignią w zwątpieniu, jest obecność przy nas istoty, która zgodziła się dzielić z nami złą czy dobrą dolę. Jakież olbrzymie pole działania może znaleźć kobieta w kraju, w którym tak wiele jeszcze pozostaje do zrobienia i nauczania. Niechaj pracuje dla swego domu, rodziny, tych, którzy ją otaczają, — niechaj uczyć drugich, własny też umysł wzbogaca, niechaj kraj, do którego przeznaczanie ją zagnało przestanie być dla niej obczyzną, aby wskazówką i radą służyć mogła innym, przybywającym po niej.

Niechaj dobry wpływ kobiet zwalcza zły wpływ napotykanym w obcym kraju warunków. Nie wątpię, że przy szczerzych usiłowaniach pierwszy, w zupełności zdoła zrównoważyć drugi. Dobry, nieustający przykład na każdym polu musi za sobą ciągnąć nawet i te, które już do innego życia przywykły. Wtedy kobiety nasze z dumą powiedzieć będą mogły, że nową stworzyły ojczyznę.

S.

Ostatnie chwile Goncourt'a.

Jesienne zeszyty paryżkiej „Revue des revues“ przynoszą nam wiązanek nader ciekawych szczegółów, dotyczących indywidualizmu pisarskiego, zgąśłego niedawno Edmunda de Goncourt. Zmarły zbyt wielką był gwiazdą na firmamencie literackim Francji i Europy, aby charakterystyka jego, jako autora i człowieka, nie posiadała dla nas żywszego interesu. Prądy, płynące z nad Sekwany, wywierały zawsze nad nami wyjątkową władzę; śmiały przeto a niezwykle talent Goncourt'ów nie pozostał bez wpływu na technikę dzisiejszej powieści polskiej. Dalecy od naturalizmu, wzięliśmy jednak z belle-trystyki Zachodu to, co stanowiło siłę jej i broń najprzedniejszą, bo szlachetny realizm i poczucie prawdy; dwie te zaś zdobycze nawiązują uń symp-

ty wyjątkowej, między nami a zgąśłym autorem *Braci Zemganno*.

I co przyczyna, dla której, z garści kwiatów, rzuconych przez *Przegląd przegladów*, na mogiłę literackiego mistrza, podejmujemy kilka najcharakterystyczniejszych i najciekawszych zarazem.

Dziwna to była zaiste siła, ów talent potężny, zaklęty w dwie dusze i dwa mózgi równocześnie. Żaden naród nie odnajdzie w dziejach piśmiennictwa swego, podobnego im przykładu. Dziedziczność zdolności twórczych a zupełnie równomiernych, nader rzadkiem bywa zjawiskiem, objawienie ich zaś, jak u Goncourt'ów, w dwóch braciach, którzy mocą głębokiej miłości i wspólnej pracy łączą się w jedną indywidualność potężną a nierozdzielną, należy już do fenomenów w umysłowości ludzkiej.

Zjednoczeni w sposób tak nierozzerwalny, iż krytyka nigdy nie mogła dociec, co w danym dziele jest częścią jednego a co własnością drugiego, pracują wspólnie, dopóki śmierć nie zabrała Juliusza. Umierając, przelewa on na brata zarówno sławę swą, jak zdolności osobiste, dzieło zaś, prowadzone dotąd wspólnie, ciągnie się dalej pod jednym już tylko imieniem.

Wobec tego i wobec niepospolitej wartości prac swych, zdawało się, iż Edmund de Goncourt powinien być za życia jeszcze zakosztować laurów nieśmiertelności. Rzecz jednak miała się przeciwnie. Szersza bowiem publiczność zachowywała się długo opornie względem Goncourt'a. Genialny jego talent zbyt był subtelnym i głębokim, zbyt wyniosłym i obojętnym na poklask tłumu, aby mógł zdobyć natychmiastowe powodzenie. Wielki styl niepospolitego pisarza tak różny od konwencyonalnych kłamstw sentymentalizmu i romantyczności, przerażał narazie. Wzamian wszakże, ów upajający pomruk zdumionych i zachwyconych tysięcy, zastąpiony został przez podziw i uwielbienie całej Francji literackiej, całej śmietanki umysłowej narodu.

Edmund de Goncourt stał się naczelną głową i przedstawicielem nowej szkoły.

Liczna plejada młodych autorów, którzy dziś są już mistrzami, a jutro rozniosą szeroko po świecie sławę umysłowego sztandaru Francji, cała ta potężna falanga uległa, świadomie lub bezwiednie nieuniknionemu wpływowi, jaki roztaczały dokoła prace Goncourt'ów. Ten jeden fakt, świadczy o genialnej ich sile, wyznacza już właściwe miejsce w panteonie literackim, świeżo zgąśłemu przedstawicielowi spółki umysłowej.

Dość posłuchać, co mówi Remy de Gourmont o powieściach historycznych Goncourt'ów.

Postacie ich — opowiada — nie są wykopywane z grobów, lecz wprost wskrzeszane. Istoty, tak złożone moralnie a przewrotne jak: panie de Pompadour, du Bary i t. p. stają przed nami, żywe, wyraźne aż do różu i bielidła, aż do desenu wachlarza i muszki przylepionej na twarz; widzimy ich dusze uczonych lalek, ich charakter o cechach zwyrodnienia duchowego. A nie są to mumie, rozkute ze spowicia, lecz kobiety tryskające życiem, z krwi i kości złożone.

Napróżno, wobec tych arcydzieł, starała się krytyka obniżyć zasługę Goncourt'ów, dowodząc, iż cały ich geniusz był własnością Juliusza i z nim razem poszedł do grobu. Obezwładniony ciosem, jakim stała się dla niego śmierć brata, Edmund mileży rzeczywiście czas pewien, lecz zebrawszy siły, zajaśnia odrazu takimi dziełami, jak: *La fille Elisa*, *Les frères Zemganno*, *La Faustin*, a najzjadliwsi Zoile nie mogą odkryć cech znamiennych, którymby prace nowe różniły się od dawnych. Jedność dwóch wielkich bratnich umysłów, odniosła tryumf nad śmiercią nawet.

La Faustin, zaś i *Chérie* dowiodły, że jeżeli Juliusz posiadał geniusz literacki, to umierając przelewał go całkowicie, legował, wraz z ostatnią swą wolą, na pozostającego brata.

I dlatego to działalność Goncourt'ów, zamykająca cykl rozpoczęty przez Balzac'a, będzie zawsze nosiła wspólne ich imię.

Nie dotykając tu rozbioru pism, ani projektu słynnej *Akademii Goncourt'ów*, jako dostatecznie już omówionej, nie możemy powstrzymać się od zaznaczenia dwóch wspólnych obu braciom a szlachetnych rysów charakteru.

Pierwszym była: niesłychana bezinteresowność, drugim: nadzwyczajna sumienność. Kochali oni zawód swój, tak, jak się kocha wymarzoną a drogą ideę i jej ucieleśnienie. Godność autorską uważali za dostojność, za herb umysłowy, którego tarczy nie plami się cieniem złego czynu, za prawo do najwyższej arystokracji ducha... I był Edward de Goncourt, aż do ostatnich chwil swoich, rzeczywistym purpuratem pióra, pomazańcem Bożym, którego czoło namaszczało technienie talentu, czyniąc go bojownikiem idei, niedostępnym dla niskiej rachuby. Nie kupczył on dziełami swymi na giełdzie wydawniczej, nie pisał—jak inni—dla pieniędzy, lecz jedynie dla uplastycznienia poglądów swych, dla idei artystycznych i literackich.

I szandar owej godności autorskiej podnosił tak wysoko, że on, mistrz słowa, uważając język i styl wytworny za pierwszą cechę dzieł wybranych, poprawiał w nieskończoność każdy okres, każde zdanie, aż stawało się ono wzorem harmonii i literackiego wykwintu. Dbał zaś do tego stopnia o charakter autentyczny i realną prawdę dzieł swych, że gdy mu przyszło malować sceny dziecięce, prześiadywał całe popołudnia w ogrodzie, w Tuileries, i udawał, że drzemie, byle tylko pochwycić autentyczny szczebiot, bawiących się dokoła dzieci.

Starzec, tak wyjątkową obdarzony organizacją, musiał grupować dokoła siebie najwybitniejszych ludzi epoki. Otaczały go też, zwartym szeregiem, najpotężniejsze umysły Francji. Wybrałszy wśród nich Alfonsa Daudet'a, związał się z nim przyjaźnią trwającą do ostatniego technienia. Był to jedyny może przykład, w którym wspólność usposobień duchowych, pochłonięta wszelki odcień zawodowego współzawodnictwa.

Goncourt opowiada w swoim „Pamiętniku“, że gdy raz odczytywał, wspólnie z Alfonsem Daudet, korespondencję między Szylletem i Goetem, towarzyszył jego zawołaniu:

— Ach, Edmundzie, jakież piękne karty można by napisać wogóle, o przyjaźni literackiej.

— Po co pisać!—odparł zagadniony.—Czyż nie lepiej, jak my, pojęcie to w czyn wprowadzać?

I tak było w rzeczy samej. W pięknym apartamencie państwa Daudet'ów, przy ulicy de Bellechasse, w Paryżu, schodziła się co czwartek cała Francja literacka, by złożyć pokłon obu mistrzom. Sędziwa postać Edmunda de Goncourt, prezydująca przy kominku, zdawała się być pełną chwały przeszłością owego domu, sławie literackiej wyłącznie poświęconego.

W tem samem otoczeniu, przeniesionem tylko do wiejskiej posiadłości Champrosay, zmarł wielki starzec, a Alfons Daudet, we wzruszający sposób, opowiada nam ostatnie jego chwile.

Ze śmiercią już w duszy, z gorączką we krwi, męczony straszną dusznością i szalonymi, lipcowymi upałami, toczy on jeszcze dysputy literackie, dziwiąc się, że „Journal“ jego narobił mu tylu wrogów, tylu nieprzyjaciół, chociaż mieści się w nim przecież prawda wyjątkowa.

Wtedy, zbierając się na odwagę—mówi Daudet,—powiedziałem memu przyjacielowi, że ludzie jednak mają trochę słuszności, że ja sam, od lat paru, mniej swobodny z nim jestem w gawędach. Myśl bowiem, iż każde me słowo może się tam później znaleźć i być postawione przed trybunałem publicznym, odbiera mi swobodę, krępuje i czyni niezręcznym.

Goncourt położył łagodnie rękę swą na mojej dłoni.

— Mój mały, — wyrzekł ze smutną słodyczą, — bądź napowrót sobą. Do „Dziennika Goncourt'ów“ ani jedna nie przybędzie już karta.

Było to 12-go Lipca. Tegoż dnia obaj wielcy autorzy pojechali na spacer. W powozie, prócz nich, znajdowała się tylko córka Daudet'a, a chrześniaczka Edmunda de Goncourt. Wśród drogi, przebieganej już wspólnie tyle razy, nawiązała się natychmiast pogawędka literacka. Sędziwy mistrz wierzył ślepo w bezstronny sąd potomności i dla niej tworzył głównie. Co do mnie—dodaje Daudet,—nie wyobrażam jej sobie, nie myślę o niej nigdy, nie wiem nawet właściwie, czym ona jest.

Edmund de Goncourt. A więc, powiedz mi nareszcie, dlaczego piszesz? Znam cię przecież; pieniądze nie były nigdy kierującym tobą czynnikiem.

Alfons Daudet. Ach, sława nie była nim również. Zapewne, powodzenie sprawia mi przyjemność, lecz nie łudzę się; wiem, że chwila ta bywa nieraz zbyt drogo okupioną. I dlatego to, laury nieśmiertelności nie nęciły mnie nigdy, w żadnej epoce mego życia. Być mistrzem, głową szkoły, jakimś gdzieś prezesem, ależ to rzeczy nie posiadające dla mnie najmniejszej wartości... Piszę, bo potrzebuję wypowiedzieć się, bo siła to wyższa nademnie, bo jestem nadmiernie wrażliwym i—i gadała zarazem.

Goncourt. Takim był brat mój, Juliusz.

Daudet. Czy pamiętasz dysputę na ten temat, między mną, Flaubert'em i Zolą? Czy pamiętasz?... Czy pamiętasz?... Wszystko już zaczynało dla nich ograniczać się do tego smutnego pytania. Starzec zajęty był wreszcie wyłącznie, jakby czując ostatnie swe chwile, myślą o swej słynnej Akademii Goncourt'ów. Dla niej pracował lat tyle, dla niej przeznaczał majątek swój i zbiory.

Na zarzut Daudet'a, iż wymarzonej przez siebie instytucji, zbyt poważnie nadał miano, odpowiada:

— Prawda, ale widzisz, obmyśliłmy je jeszcze razem z Juliuszem. Dziś, po jego śmierci, nie czuję się w prawie zmieniać w projekcie naszym ani jednego przecinka.

I tłumaczy, jaką dźwignią będą te nagrody, z 5,000 fr. złożone, dla talentów młodych, nie doznających zachęty od ociążałej i śpiącej szablonoj Akademii francuskiej.

Był to ostatni jego dzień przytomny. Opowiadał, iż w nocy, po latach dziesięciu, śnił mu się napowrót niezapomniany Juliusz...

Nad ranem zbudzono Daudet'ów alarmem. Edmund de Goncourt leżał nieprzytomny, dogorywał...

Depesze rozniosły po całym świecie wieść o smutnym ciosie, jaki dotykał piśmiennictwo francuskie. Depesze te jednak nie mogły odszukać rodziny umierającego. Bliskiej nie miał wcale. Miejsce więc u węzłowia zajęli Daudet'owie. Przyjaciel i wykonawca ostatniej jego woli, a drugi mistrz literacki, nie mógł zrozumieć doniosłości nagłego nieszczęścia; nie pojmował co się dzieje... Wykwintna, a do pióra również przywykła ręka pani Daudet, przymykająca powieki zgasłemu, była pierwszym objawieniem srożej prawdy dla jej męża. Głos zaś żony, dającej rozkaz:

— Ściąć wszystkie róże w Champrosay, wszystkie kwiaty w ogrodzie i zasypać nimi cały pokój zmarłego, wyrwały Daudet'a z osłupienia. Zrozumiał nareszcie, straszną dla siebie i dla Francji prawdę.

Edmund de Goncourt żyć przestał.

RUCH MUZYCZNY.

Leży przed nami pierwszy rocznik pisma, wydanego w Płocku, a poświęconego muzyce kościelnej. Prowadzi ów miesięcznik ks. Teofil Kowalski, magister św. Teologii, kapłan wysoce miłujący sztukę i na kartach swego *Śpiewu kościelnego* zamieszczający wiele ciekawych artykułów i studyów. Należy się tej pracy nietylko uznanie, ale i wdzięczność istotna; wszyscy wiemy, jak niski, na pierwszy wzgląd, jest poziom artystyczny muzyki kościelnej, jak organisci nie są w możności zadowolić nawet najmniejszych wymagań ogółu: praca więc ks. Kowalskiego i wpływ pisma, umiejętnie w tym kierunku prowadzonego, będzie tu zbawienny i niewątpliwie obfite wyda owoce.

Jestto rzeczywista praca w winnicy Pańskiej i zasługuje na poparcie jak najgorliwsze.

W ostatnim numerze *Śpiewu kościelnego* spotykamy oprócz zwykłych rubryk „luźną kartkę z dziejów muzyki kościelnej“, chcemy zwrócić uwagę nie wyłącznie na ten artykuł, ale w ogóle na przedmiot w nim poruszony.

Od dawien dawna protektorowie muzyki pilnie baczili na to, aby pieśń kościelna kształciła się pomysłnie; zwłaszcza klasztory skuteczną w tej mierze rozwijały działalność. Będzie więc *Śpiew ko-*

ścielny miał wielką zasługę, jeżeli systematycznie zaznajamiać zaczęli czytelników swoich z pojedynczymi okresami dziejów muzyki duchownej u nas, temat to bowiem słabo dotąd wyzyskany, a bardzo pożyteczny. Sięgnąć tu potrzeba aż przed wiek XVI, kiedy to tworzone liczne pieśni tekstów polskich, ogłaszając je często drukiem wraz z nutami w formie do wykonania dogodnej; widać w nich bowiem—jak świadczą wytrawni znawcy—umiejętność naukową, przez którą autorowie równali się niemal sławnym kompozytorom okresu zygmuntońskiego. Nazwiska to znakomite i słynne, od Mikołaja Gomółki poczynając: Mikołaj z Poznania, Sebastian z Felsztyna, Leopolda (Marcin Lwowianin), Wacław Brzozowski i Wacław Szamotulski. Światłość i ogłada dworu polskiego, potęga i zażyłość kraju ściągały do nas licznych cudzoziemców, a Włochów szczególnie od chwili przybycia Bony Sforzy (1518 r.). Zygmunt I przyczynił się znacznie do rozwoju muzyki kościelnej przez ustanowienie przy katedrze krakowskiej chóru śpiewaków, zwanego kolegium rorantystów. Chór ten składał się z dziesięciu członków stałych, obowiązanych co dnia uświetniać śpiewem nabożeństwo poranne; w dniu uroczysta liczba ich dochodziła do czterdziestu. Dyrektorami tego zgromadzenia bywali biegli muzycy, z których niejedni odznaczyli się oryginalnymi kompozycjami. Instytucja ta bowiem zasilana ciągle wychowancami akademii krakowskiej, w której i muzykę z katedry wykładano, dawała im obszerne pole do działania. Najznakomitszym dyrektorem rorantystów był ks. Grzegorz Gorczycki, zwany perłą kapłanów, zmarły w roku 1734.

Mało bardzo dzieł muzycznych z dawnych czasów zachowało się w bibliotekach. Najzasobniejsza w muzykalia księżnica OO. Dominikanów w Krakowie zgorzała w r. 1850 podczas wielkiego pożaru miasta. Szczątki rozrzuconych po świecie zabytków muzyki kościelnej zbierać, takowe charakteryzować i w dziale historycznym *Śpiewu kościelnego* podawać, jest dla redakcji tego pisma rzeczą bardzo sympatyczną;—jesteśmy też pewni, że się w przyszłości niejednokrotnie na szpaltach organu ks. T. Kowalskiego z tego rodzaju rzeczami spotykamy.

Chwilę bieżącą skrzętny redaktor nader starannie notuje i objawy dobre natychmiast zaznacza. Tak np. z ostatniego numeru *Śpiewu kościelnego* dowiadujemy się, iż w Dobrzyniu nad Wisłą, dzięki staraniom miejscowego proboszcza, ks. Pióro, i wikaryusza ks. Starzyńskiego, kościół tamtejszy posiada chór dobry i utalentowanego organistę; na pochwałę również zasługuje chór kościelny w Brzezynie archidiecezyi warszawskiej. Kiedy zaś prowincja wszelkimi siłami stara się o rozwój muzyki kościelnej—Warszawa o to dba niewiele. *Śpiew kościelny* stwierdza, że w najświeższej dobie dzieje się pod tym względem nieco lepiej, ale jeszcze zbyt mało spostrzegać się daje usiłowań, doskonałość muzyki kościelnej mających na celu. Sprawa to wagi rzeczywistej, powrócimy też do niej jeszcze innym razem.

Przechodząc obecnie do twórczości świeckiej, słów parę poświęcić zamierzamy najnowszemu dziełu, które stworzył Henryk Jarecki, dyrektor opery lwowskiej. Mówimy o kompozycji osnutej na balladzie Mickiewicza „Powrót taty.“ Libretto ułożył p. Jan Gołębiowski ze Stanisławowa. Jestto ballada muzyczna w jednym akcie, a w trzech obrazach. Treść utworu podajemy za pismami lwowskimi.

Obraz pierwszy dzieje się „za miastem, pod słupem, na wzgórku.“ Dzieci kupca, w liczbie pięciu, modlą się pod krzyżem o szczęśliwy powrót taty. Rozmowę i modlitwę dzieci podsłuchuje herszt bandy zbrojeckiej, grasującej w okolicy Worochny, w powiecie Stanisławowskim. Dzieci odchodzą, idąc drogą, którą ojciec ma przyjechać, a w zbrojcy budzą się refleksje na temat tego, co widział i słyszał. On tych dzieci nie pozabawi ojca!

Zasłona spada, obraz się zmienia w wawóz, wiodący przez jary karpackie. Jest tu siedziba bandy zbrojeckiej. Rabusie przygotowani są do napadu na ładowny wóz bogatego kupca. Tańce i chóry huculskie wypełniają obraz drugi. W obrazie trzecim widać z dala na wzgórku krzyż, w pobliżu zaś znajdują się dzieci, które, widząc wóz, rzucają się ku niemu z okrzykiem:

„Tato, ach! tato nasz jedzie!” Kupiec wita się z dziećmi; nagle otaczają go zbójcy; kupiec prosi, by nie robili „małych sierotami dzieci i młodej małżonki wdową!”

I tu, zupełnie jak w oryginale Mickiewicza, zjawia się herszt, odpędza bandę i śpiewa: „Na ten pagórek biegacie dzieci i za moją duszę zmówcie też czasem paciorki.” Zaslona spada.

Wyciąg fortepianowy, dotąd znany, przekonywa, iż nowy utwór Jareckiego posiada w sobie dużo prostoty i wdzięku. Uwertury niema wcale, jest tylko krótka przegrywka, po której kurtyna idzie w górę, a dzieci zaczynają ładny, melodyjny śpiew solowy i chórally.

Sielanka ma swój powab i oryginalne zacięcie. Drugi obraz zawiera niemało rozmaitości i tętni życiem ludowym. Postać herszta narysowana jest bardzo dosadnie. Cały utwór na scenie trwać powinien godzinę. „Powrót taty” będzie wystawiony w sezonie bieżącym w teatrze hr. Skarbka we Lwowie.

Nowa dyrekcja tamtejsza dokłada wszelkich starań, aby godnie zaprezentować się podczas zimowej kampanii operowej. Oprócz „Powrotu taty”, pp. Bandrowski i Heller zamierzają w lutym 1897 r. wystawić najnowszą operę Zygmunta Noskowskiego, p. t. „Livia Quintilia.”

Jedną z głównych partij w tem najświeższym dziele znakomitego kompozytora odtworzy dzielny basista, p. Jeromin, któremu rola ogromnie przypadła do smaku i studyje ją z zapalem. Partję tenorową zamierza autor powierzyć Myszudzie albo Bandrowskiemu. W czyich rękach spocznie partya tytułowa—dotąd niewiadomo.

Można być pewnym, że i tym razem Zygmunt Noskowski stworzył rzecz wielkiej artystycznej wartości. talent to bowiem szerokiej skali i głębokiego natchnienia.

Kiedy już mówimy o pracach znakomitego twórcy „Morskiego Oka,” wspomnieć należy o jego felietonie, niedawno drukowanym w „Kurjerze Warszawskim,” p. t. „Pêle-mêle.”

I w tym kierunku Noskowski wykazuje swą bystrość i trafność obserwacji.

Zle się dzieje w astronomii... t. j. chciałem powiedzieć w muzyce—pisze Z. Noskowski,—ale nie dziwie się mojej pomyłce, gdyż obecnie sztuka tonów błyszczy gwiazdami rozmaitej wielkości i mocy, a coraz częściej się nam przytrafia nazywać meteory i komety słońcami. Z rozwinięciem się zaś elektrotechniki, gotowiliśmy uczyć się palącą lampę łukową mianem gwiazdy, wypisując na wstępach wielu śpiewakom ody i dytamyby pełne symbolistycznej przesady. Czy to entuzjazm dla sztuki?... Nie, to niestety dowód, iż nic nas w taki zachwyt nie wprowadza, jak długa fermata na nucie wysokiej, albo pełna świetnej koloratury kadencya. Takie to głębokie, pełne myśli, a tak do duszy przemawiające!

Tymczasem eicha, mozolna praca kompozytorska dopiero z biegiem czasu (jakże często po śmierci twórcy) nabiera znaczenia, zaczyna błyszczeć coraz silniej i gasi wreszcie potęgą swych promieni samozwańcze satelity. Sens moralny: wykonawców należy cenić, ale nie *przeceniać*, gdyż i tak są oni dziećmi szczęścia, posiadają sławę i pieniądze, kompozytorów zaś wartoby *doceniać*, gdyż ich los, z bardzo małym wyjątkiem, nie jest do pozazdroszczenia.

Ot i świeżo zgasł w Wiedniu Antoni Bruckner, przeżywszy lat sześćdziesiąt kilka. Imię to mało znane, gdyż Bruckner był symfonistą, a to jest rzecz niestrawna. Nawet w ojczyźnie symfonii, w Niemczech, znano go powierzchownie, gdyż Bruckner nie szedł utartą ścieżką, lecz starał się o pochod samodzielny, a to wszędzie, zwłaszcza zaś w muzyce, szkodzi popularności. Nie jest się wtedy—jak Małgorzatka—„godnym uwielbienia.”

Z kompozytorów wielkich oper jeden tylko Wagner w ostatnich latach życia miał znakomite dochody, tak jak znowu z twórców nieteatralnych jeden tylko Brahms otrzymuje honoraria dotąd niebywałe.

Za trzecią symfonię tego mistrza wydawca zapłacił 32,000 marek. Innym zagranicą składali wielbienie tak zwany „fundusz honorowy.”

U nas zaś... kompozytora najwyższemu pragnieniem jest mieć dobry koncert, ale i to tak skromne

życzenie rzadko się spełnia po myśli, jak to mieliśmy niedawno dowód na Zelenkim i Melcerze. Obaj dali na wiosnę koncerty i wystawili swe dzieła i obaj przekonali się, iż zajmujących się u nas twórczością jest—garsteczka. Szczęściem, iż przyjaciele obydwóch, chcąc im oszczędzić straty i zawód—ofiarowali: twórcy „Goplany” wieniec srebrny, Melcerowi zaś za piękny koncert fortepianowy—zegarek złoty.

Tak w sposób jaskrawy, choć zupełnie prawdziwy charakteryzuje Zygmunt Noskowski obecne warunki ewolucji muzycznej; przynależało trzeba, iż warunki te są niezbyt odpowiednie dla rozwoju sztuki i mogą niejednokrotnie wpłynąć ujemnie na postęp artystyczny.

Gdy tak w najrozmaitszy sposób toczą się sprawy muzyczne w dobie obecnej, opera warszawska wypełnia swoje widowskie popisami wokalnemi p. Battistini’ego i panny Pacini. Dopiero też od czasu występów Battistini’ego sala teatralna zaczęła się zapełniać—dotąd świeciła pustkami.

Dla tego artysty przestudyowano specjalnie starą operę Donizetti’ego, p. t. „Marya de Rohan,” śpiewaną kiedyś przed czterdziestu z górą laty w teatrze Wielkim. Była to więc dla słuchaczy dzisiejszych bardzo wielu istotnie premiera, ale zgoła nie tak ciekawa, aby ją wznowiać.

Całą treść wypełnia zdrada małżeńska, parę wyrzutek miłosnych i zemsta męża zdradzonego.

Rozgłosną w całej Europie XVII wieku—pisze Władysław Bogusławski—była Marya de Rohan, księżna de Chevreuse, intrygantka, z którą poradzić sobie nie mogło dwóch najpotężniejszych ministrów: Richelieu i Mazarini, i która w zapędzie obrażonej ambicji dwukrotnie zagranicznych wrogów podburzała przeciw Francji. Na tle jej życia napisany dramat w trzech aktach, p. t. „Pojedynek” grano w Rozmaitościach w tłumaczeniu. Trudno wierzyć, że kiedykolwiek jakkolwiek publiczność mogła się interesować taką szablonową ramotą, bez historycznej perspektywy, bez poetycznego tła, bez plastyki rysunku bez literackiego stylu—i tylko nazwiska Halpertowej, Piaseckiego tłumacza poniekąd powodzenie podobnej sztuki kiedy literatura dramatyczna była wszędzie fabrykantką ról, a scena akademią aktorów. Dziś niktby niewiedział, że istniał kiedykolwiek „Pojedynek,” gdyby Donizetti’emu nie podobło się przypomnieć go w operowej partycyi, ale partycja ta jest z gruntu chybiona.

I gdyby nie Battistini, wytwórny mistrz śpiewu, Marya de Rohan byłaby, po krótkim powtórnym żywocie, zeszała znowu do grobu. Battistini—śpiewak i Battistini aktor zestroili się razem, aby słuchaczy oczarować.

Tem bardziej entuzjazmował on tłumy publiczności w „Don Juanie” Mozarta. Artysta jest tu w całym tego słowa znaczeniu—świetnym, a słuchacz z zajęciem ogromnem śledzi sposoby, jakimi śpiewak zdobywa tę precyzyę wykonania i subtelność przedziwnego frazowania. Battistini ma dużo w interpretacji Don Juana szlachetności; za miękki może czasami—posiada wdzięk prawdziwego uwodziciela i polot rzeczywiście poetyczny.

Orkiestra symfoniczna, o której już niejednokrotnie na tem miejscu pisaliśmy, waleczy o byt w salach redutowych na koncertach urządzanych bardzo starannie przez p. Noskowskiego i Konopaskę. Dyrektor Noskowski otoczył młodą instytucję swoją opieką i nie szczędzi jej uwag, pomocy i poparcia. Pod kierunkiem doświadczonego dyrektora orkiestra wykonała niedawno świetnie uverturę „Ruy Blas” Mendelssohna i suitę pierwszą z muzyki Griega do poematu „Peer Gynt”; oprócz tego interpretacja koncertu *Be-minor* Czajkowskiego świadczyła o znacznym już wyrobieniu tego zbiorowego ciała artystycznego. Dzieło to należy do bardzo pięknych utworów symfonicznych w nowoczesnym stylu i kolorytem, rytmiką i potęgą wyróżnia się, jako prawdziwy poemat muzyczny. Koncert ten grał z naszą orkiestrą p. Fryderyk Lamond, uczeń Bülowa, wyborny pianista, obdarzony wybitnym talentem; interpretacja jest pełna ekspresji i żywotnej siły.

Tak się doskonale zarysowawszy na tym koncercie, orkiestra warszawska dążyć może śmiało naprzód. Chodzi jednak, aby Warszawa dała jej utrzymanie. Dotąd losy sympatycznej instytucji zdają się być zapewnione, a mianowicie, sekcja or-

kiestrowa w towarzystwie muzycznym zadecydowała, iż w ciągu zimy gwarantuje orkiestrze trzy koncerty tygodniowo za stałym wynagrodzeniem. Na lato sekcja ma również widoki korzystnego umieszczenia orkiestry.

W salach redutowych tedy rozbrzmiewać będą dźwięki młodej, a dzielnej drużyny, która w krótkim stosunkowo czasie rozwinęła się pomyślnie i niebawem zajmie w naszym muzycznym świecie pierwszorzędne stanowisko.

W tych także czasach mieliśmy występ estradowy wysoce utalentowanej pianistki, p. Maryi z Wąsowskich Badowskiej, której nie słyszeliśmy od roku. Jestto artystka, z pośród ogółu pianistek wyróżniająca się bardzo korzystnie, indywidualnością, pełną w grze męskiej werwy. Z rzeczywistym polotem p. Badowska wykonała Scherzo *Cis minor* Chopina, Etiudę Zarebskiego i nad program z wielką brawurą „En route” Godarda.

Przed dwoma tygodniami na estradzie w towarzystwie muzycznym wystąpił znakomity skrzypek czeski, Franciszek Ondryczek, znany u nas z przed lat siedmiu. Już wtedy pamiętamy go, jako wirtuozę niepospolitej miary; talent ten przez pracę i doświadczenie w ciągu tego czasu zmęźniał i dojrzał, ton stał się głębszy, dotknięcie subtelniejsze. Powitany jako dobry znajomy Warszawy huczniemi oklaskami, artysta odegrał szereg utworów, w które umiał wlać dużo istotnej poezji.

P. Ondryczek posiada świetne oktawy, prześliczne flazeolety oraz przepyszne staccata,—słowem, jest bez zarzutu pod względem techniki skrzypcowej. Technika zaś tę ożywia artystyczny ogień, temperament i energia męska.

Przez Warszawę wkrótce przebiegną dwa meteorzy artystyczne: Józef Hofman i Ignacy Paderewski; z tych jednak tylko pierwszy dał się usłyszeć w salach redutowych; drugi—przejedzie przez nasze miasto i podaży na koncert do Kijowa. Kto wie wszakże, czy widok Warszawy, w której przecież gotował się do przyszłej swej kariery artystycznej, nie podziała tak wymownie na Paderewskiego, że ulegnie namowom wielbicieli i wystąpi na estradzie przed tą publicznością, która tyle nazywała się o jego wielkim talencie, a nie mogła gry tej słyszeć. Jeżeliby koncert Paderewskiego doszedł do skutku, mielibyśmy sposobność porównać największe dziś nasze talenty wirtuozowskie na fortepianie,—a to dałoby podstawę do wyrobienia pojęcia o rysach psychologicznych dwóch największych w dobie obecnej potentatów sztuki.

Adam Dobrowolski.

Sen kwiatów.

Białe róże, senne róże,
Dobrej nocy wam!

Po zachodzie słońca, kiedy cienie nocy pokrywają już zmęczoną ziemię, większa część świata zwierzęcego udaje się na spoczynek. Nawet i rośliny zdają się wówczas odpoczywać, gdyż kwiaty widziane w nocy robią wrażenie uspiętych. Czy możemy więc uważać sen kwiatów jako rzecz istniejącą? Czy one także odpoczywają po trudach dnia? czy i dla nich pora nocna jest porą częściowego osłabienia ich czynności? Nowsze badania wykazują, że przeciwnie, różnorodne zmiany w ich zewnętrznych kształtach, jakie widzimy u wielu roślin podczas nocy, nie są zupełnie objawem osłabienia ich czynności, przeciwnie różne złożone procesy zachodzą w tym pozornym stanie spoczynku. Nie możemy jednak brać za złe wierzeniom ludowym również jak i poetom, że upodobałi sobie w myśli, jakoby kwiaty odpoczywały również w nocy, jakoby „szły spać” na równi z żywymi twórami świata.

Chyba każdy z czytelników jasno zdaje sobie sprawę corazumiemy pod *snem kwiatów*, bo nie uszła chyba uwagi żadnego z nich, jakie dziwne zmiany zachodzą rano i wieczór u wielu kwiatów. O zachodzie słońca, jedne z nich spuszczaają główkę, zamykając przytem swą wonną koronę, inne znów

stulają powoli listki, opuszczając je ku ziemi lub też wzdłuż łodygi. Rano zaś kiedy w promieniach wschodzącego słońca cała natura budzi się do życia i kwiaty również otwierają swe kielichy. Roślina prostuje się i przeciąga członki t. j. łodyżki, jak gdyby orzeźwiwszy się i nabrawszy nowych sił chciała zabrać się do dziennej pracy. Objawy jednak tego podobnego do snu stanu roślin nie są wcale tak wybitne, tak stanowczo zaznaczone, że byśmy go mogli uważać za równoznaczny z tym stanem spoczynku u zwierząt obdarzonych dowolnymi ruchami, dla których sen jest jednym z warunków życia. Roślina zaś nie czyniąc żadnego wysiłku ani mózgowego ani mięśniowego dla wyszukania sobie pożywienia nie potrzebuje naturalnie odpoczynku w nocy. Są to więc tylko pojedyncze części roślin określone ruchy, których perypetyczne występowanie wywołało w ludziach wyobrażenie snu roślin. Niedostatecznie jeszcze zostało wykazaniem, dlaczego nie znajdujemy objawów owego snu u wszystkich kwiatów albo u ich większości. Pojawiają się one wprawdzie u wielu roślin ale zawsze rośliny te stanowią mniejszość w państwie Flory liczącem ze 100,000. Darwin, który wiele się przyczynił do zbadania tej kwestyi podaje listę wszystkich gatunków, które mieszczą w sobie śpiące rośliny—jest ich niemniej jak 93. Ażeby uniknąć utożsamienia tego stanu roślin ze snem zwierząt, Darwin wprowadza prozaiczną nazwę ruchów *nyktithropijnych* (przy zbliżającej się nocy) dla ruchów charakterystycznych dla snu u roślin.

U kwiatów zdaje się ogólne zachodzić prawidło, że o ile prościej i bardziej prawidłowo jest utworzona ich korona, o tyle wyraźniej wpada nam w oczy owo zjawisko snu. Przy zapadającej nocy, przez dzień otwarte kielichy zaczynają się zamykać lub stulać płatki i przybierają wówczas kształt najbardziej zbliżony do pączków. Przytem występuje jeszcze bardziej na jaw dziwny stosunek światła i ciepła do tych.

Nigdzie wyjątki z ogólnego prawidła nie są tak wyraźne jak tutaj. Tak niektóre kwiaty tem się wyróżniają, że właśnie w nocy otwierają swe korony a zamknięte je mają w dzień. Czyż nie przychodzi nam tu na myśl owe zwierzęta, które mają w ten sposób uorganizowane zmysły, że w porze nocnej wykonywają najważniejsze czynności, podczas gdy dni przepędzają w swych kryjówkach, wskutek wrodzonego wstrętu do światła. Dalej widzimy kwiaty, których ruchy charakterystyczne dla snu nigdy nie pojawiają się o tymże samym czasie, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa są one zależne od zewnętrznych czyli atmosferycznych wpływów. Kwiaty te otwierają zwykle swe kielichy w porze najgorętszej dnia mniej więcej o południu, zamykają zaś je trwożliwie, kiedy się słońce za chmury chowa.

Tak jak widzimy u listków, że łodyżki ich przyjmują udział w ruchach charakterystycznych dla snu, tak samo spostrzegamy to zjawisko i u kwiatów. Tu należy przedewszystkiem zginanie łodyżek kwiatów, wskutek którego do ruchu do góry kierujący się kwiat przybiera pozycją horyzontalną albo też zgina się ku ziemi. Ruch ten zaś nie jest zupełnie wynikiem osłabienia czynności fizjologicznych. Jeszcze inaczej przedstawiają się ruchy charakterystyczne dla snu u kwiatów złożonych czyli *promienistych*. Znana jest rzeczą, że rozwinięty kielich tych kwiatów rozkłada swe listeczki jak promienie ze środka ku obwodowi. Przy ruchach charakterystycznych dla snu spuszcza on listki albo ku dołowi na zewnątrz jak np. zwykły rumianek (*Marticaia chamomilla*) albo też stula je ku wewnątrz. Dziwniejsze jeszcze kształty przybiera w czasie snu roślina lekarska „*Mirabilis jalapa*,” wygląda ona wówczas jak zwiedła i stan

ten trwa aż do popołudnia. Pojedyncze listki kielicha marszczą się przytem tak, że cały brzeg korony wygląda jakby poczynął wędznąć.

U niektórych gatunków roślin otwieranie się i zamykanie kielichów pojawia się o pewnych, oznaczonych godzinach dnia, tak, że wielki botanik szwedzki Lineusz wpadł na myśl ułożenia z nich „zegaru kwiatowego.” Zegar ten zasadza się na wyliczeniu różnych roślin według godzin rozkwitu i zamykania się ich kielichów. Że podobny zegar zważywszy na działające nań wpływy zewnętrzne nie może iść dobrze i za jego dokładność zbytnio ręczyć nie można, jest zdaje się rzeczą jasną. Mógł jednak usłużyć w potrzebie takiemu Robinsonowi np. od którego nikt nie mógł wymagać punktualności.

Niektóre kwiaty wstają bardzo późno—są takie, co budzą się dopiero popołudniu. Za to jednak tak listki wielu roślin jak i kwiaty mają zwyczaj przespiać gorące godziny dnia spuszczać główki jak w nocy, dopóki ich nie obudzi chłodniejszy powiew popołudnia. Niektóre kwiaty jak len np. woli się wcale nie budzić; uważa on, że ma prawo znów iść spać po obiedzie, kiedy przed obiadem otworzył swe niebieskie oczki na czas jakiś. Niektóre kwiaty nie otwierają wcale swych kielichów, kiedy jest niepogoda, jak np: portulaki i cyteorya. *Calendula pluviales* przy grożącym deszczu nie otwiera rano swych kielichów, objaw ten nie ma jednak wcale miejsca przed ulewą połączoną z burzą. Można każdej chwili przez ochłodzenie doprowadzić do zamknięcia kwiaty tulipanów i krokosów, tak samo i roztworzyć je przez raptowne podniesienie temperatury. U innych kwiatów nie udaje się znów za pomocą ochłodzenia wstrzymać otwarcie kielicha o wschodzie słońca, tak samo jak i jego zamknięcie o zachodzie.

Jeżeli jednak zamkną się w dzień wskutek wstąpienia ich do ciemnego miejsca, to można je wówczas otworzyć za pomocą podwyższenia temperatury. Ta rozmaita wrażliwość na światło i temperaturę tłumaczy nam po części otwieranie się i zamykanie kwiatów w różnych godzinach i przy rozmaitych warunkach. Jeżeli zaczniemy badać działania różnokolorowych promieni światła na sen kwiatów, to dojdziemy do przekonania, że w świetle niebieskiem jak np. w szklance zabarwionej kolorem indygo, kwiaty budzą się najwcześniej, trochę później w świetle żółtem, jeszcze później w zielonem a najpóźniej w czerwonym. Zасыpanie zaś odbywa się znów w odwrotnym porządku: najwcześniej zasypiają rośliny w czerwonym a najpóźniej w niebieskiem świetle. I rozmaite barwy kwiatów nie są bez wpływu na ich wcześniejsze lub też późniejsze budzenie się a jeszcze większego znaczenia jest tu otaczająca rośliny temperatura. Niejedno jednak jest tu jeszcze ciemne i wątpliwe, tak jak w dziedzinie botaniki i fizjologii roślin niejedno jeszcze czeka zbadania i wyjaśnienia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Ministeryum skarbu opracowało i wniosło do rady Państwa projekt zorganizowania specjalnego typu zakładów naukowych rzemieślniczych wiejskich dla chłopców od 13—17 lat. Szkoły będą nosić charakter warsztatów, gdzie prowadzony będzie przedewszystkiem kurs ciesielstwa i kowalstwa

odpowiednio do potrzeb wiejskich. Koszt szkół obliczono na 12—15000, utrzymanie zaś roczne na rs. 4,000.

— Poruszona przez hr. Konstantego Przeździeckiego myśl założenia w Warszawie na wzór innych wielkich miast „towarzystwa ratunkowego,” bliską jest urzeczywistnienia. W tych dniach komitet ministrów rozpatrywał nadesłaną do zatwierdzenia ustawę towarzystwa.

— Przed tygodniem zmarł w Piotrkowie Kazimierz Stronczyński. b. senator i członek heroldyi Królestwa Polskiego, oraz b. dyrektor kancelaryi rządowej wyznań i oświaty w Warszawie. Od r. 1888 był zmarły czynnym członkiem krakowskiej Akademii umiejętności. Zmarły znany był jako badacz i znawca starożytności zwłaszcza w dziedzinie numizmatyki i sfragistyki, wydał też kilka bardzo cennych rozpraw w tym kierunku.

— We Lwowie z inicjatywy kilku profesorów uniwersytetu tamtejszego, zaprowadzone być mają od Nowego Roku kursa akademickie dla kobiet. Na razie 7 profesorów zapowiedziało wykłady z dziedziny sztuki, filozofii i nauk społecznych, projektowane jest jednak z biegiem czasu znaczne rozszerzenie programu.

— „La Revue Encyclopédique” zapowiada na Listopad nadzwyczajny numer, poświęcony całej emancypacji kobiet. Tytuł tego numeru: *Les femmes et les feministes*. Pomiedzy współpracownikami tego numeru spotykamy nazwiska pań: Maryi Szeligi, Małgorzaty Poradowskiej i Maryi Krysińskiej.

— W Paryżu zmarł w 72 roku życia znany artysta-malarz Bogolubow. Zmarły był członkiem Akademii sztuk w Petersburgu. Bogolubow malował kilka obrazów przedstawiających sceny historyczne, między innymi wjazd floty rosyjskiej do Tulonu. Obecnie pracował nad obrazem przedstawiającym uroczysty wjazd do Cherbourga. Śmierć zaskoczyła go nagle.

— Przed kilku dniami w jednym z omnibusów londyńskich padła bez zmysłów młoda panienka; przeniesiono ją do szpitala, gdzie pomimo bardzo energicznego ratunku wkrótce zmarła. Sekcja dokonana na zwłokach wykazała, że przyczyną śmierci było używanie ciasnego gorsetu, na co wskazywały również: zmiana kształtu wątroby i rany na biodrach i płucach. Sędzia śledczy określił tę śmierć nagłą jako „powolne samobójstwo przez kieteryę.”

— Pewne angielskie biuro statystyczne podaje liczbę pism wychodzących na całej kuli ziemskiej na 12 miliardów egzemplarzy. Gazetami temi możnaby nakryć przestrzeń 30,000 kilometrów kwadr., a waga ich wynosi 781,243 tonn. Cały nakład odbijany na jednej maszynie, licząc na odbicie jednego egzemplarza sekundę, byłby gotów po upływie 333 lat. Wszystkie egzemplarze położone na sobie utworzyłyby kolumnę wysokości 80,000 m., a przeczytanie wszystkich, licząc tylko 5 minut na jeden egzemplarz wymagałoby 100,000 lat.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: ark. 9 powieści p. t. **Dora**, przez Henryka Gréville. Przekład z francuzkiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Modytacje w jesieni, przekład Bronisława Grabowskiego. — Lubrańce, powieść, przez Znicza (dalszy ciąg). — List z Anglii, przez S. — Ostatnie chwile Goncourt'a. — Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego. — Sen kwiatów. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Dora**, powieść, przez Henryka Gréville. Przekład z francuzkiego, ark. 9. — Przegląd mód. 32 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.